

STEFAN GRABIŃSKI

---

# Świadek Materna

STEFAN GRABIŃSKI  
NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

# *Świadek Materna*

Gdyby ktoś znieuważa zagadnął w owym czasie Maternę, nad czym tak ustawicznie prze-myśliwa, spotkałby się z pewnością z ponurym spojrzeniem jego czarnych, mocnych oczu i z... milczeniem. Ten młody, przymierający głodem pod koniec każdego miesiąca akademik<sup>1</sup> był za dumny, by skłamać lub dać wykrętną odpowiedź. Więc byłby milczał.

Bo jakżeż przyznać się do myśli, które od dwóch tygodni opanowały wyłącznie jego duchowe wnętrze, rozwieliżmożniły się w nim z uporem opętania? Jak podzielić się z drugimi tymi

---

<sup>1</sup> *akademik* (daw.) — słuchacz akademii, uniwersytetu; student. [przypis edytorski]

ohydnie plastycznymi obrazami, w które przyoblekła się wtedy dziedzina jego marzeń i pragnień? Było to niemożliwe, absolutnie niewykonalne.

Bezwzględna wyłączność i nasilenie myśli mogło stać się niebezpieczne, nawet groźne. Materna niczego tak nie lękał się, jak swej wyobraźni, jak jej wypukłości, precyzyjności i wykończenia. Wyglądało to na paradoks, a jednak było faktem. Bujność i wyrazistość fantazji, dotychczas źródło jego dumy i próżności, wydała mu się w tym wypadku przymiotem fatalnym. Coś podszeptywało, by bezwarunkowo wyplenić rozpanoszone zielsko, zerwać w zarodku bujające jego sploty, jeśli chciał uniknąć nieobliczalnych w swej ważkości następstw.

Lecz wysiłki okazały się daremne i uporczywa myśl o zbrodni rozkwitła, podobna do kraśnego<sup>2</sup> krwią upiora...

Momentem zaczynu stał się ów wieczór 25 września w Ogrodzie Strzeleckim, nastrojowy

---

<sup>2</sup>*kraśny* — krasny, jaskrawoczerwony a. piękny. [przypis edytorski]

wieczór spowity w pierwsze festony<sup>3</sup> jesiennych mgieł i oparów. Znużony wielogodzinnym rozwiązywaniem zawitych problemów matematycznych, odurzony jeszcze czadem równań, symboli i wzorów, szedł Materna krętą ścieżką ku platformie szczytowej ogrodu. Wczesny zmierzch godziny szóstej zarzucał powoli na świat szare przedziwa i kojarzył się z ciszą ustronia w doskonałą symfonię. Na górze, na placyku okalającym kort tenisowy nie było żywej duszy: samotne, puste ławki dumwały pod arkadami jesionowych splewów<sup>4</sup>, wilgotne od rosy, nasiąkłe spełniającą się mgłą: zżółkłe, krwawo pocętkowane liście klonów szeleściły cicho pod stopą. Gdzieś w dole, na jakimś poddaszu, łkał wieczorny flet...

Wtedy na zakręcie ścieżki, w głęboko cofniętej niszy ogrodowej ujrzał na jednej z ławek oboje Góranowskich, splecionych w uścisku.

---

<sup>3</sup>*feston* — element dekoracyjny w formie podwieszonego po bokach pęku kwiatów czy owoców lub fragmentu tkaniny upiętej guzami, inaczej girlanda. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*splew* (daw.) — zbieg rzek, spływ. [przypis edytorski]

Poznali go... Przeszedł obok, nie pozdrawiając. Po chwili zawrócił ku miastu inną ścieżyną...

Szczególny traf kazał mu spotkać ich w tym miejscu po raz pierwszy od dnia zerwania z Rysią i oglądać naocznie szczęście znienawidzonego przeciwnika. Po roku męki, gdy już zdawało się, że wreszcie wywalczył sobie względną równowagę, gdy rozjątrzone ogniska powoli zaczęły przygasać i ból przechodził w stan ścierpłego zubożenia...

Noc tę spędził bezsennie przy otwartym oknie i przy wtórze tłukącego się na strychu wichru wypracował myśl, która odtąd prześladowała go zajadle przez dni czternaście, aż do chwili obecnej. Treść jej zamknięta w ramy obrazu przedstawiała się z niezwykłą prostotą. Materna widział przed sobą na owej ławce w ogrodzie swego rywala uduszonego jego własnymi rękoma; uduszonego — nie zastrzelonego; strzał byłby formą zemsty mniej bezpośrednią, niewymagającą kontaktu fizycznego *corps á corps*<sup>5</sup> — gdy uduszenie dawało pełnię mściwego prze-

---

<sup>5</sup>*corps á corps* (fr.) — ciało przeciw ciału (o walce: wręcz). [przypis edytorski]

życia, pozwalało napawać się wzrastającym z sekundy na sekundę strachem ofiary i wyczuwać pod palcami stopniowo zwężające się tętno życia.

Obraz był tak wyraźny i natrętny, że chwilami przechodził niemal w halucynację; zwłaszcza w porze wieczornej, gdy mętniały barwy i zacierały się kontury. Materna zaczął unikać publicznych ogrodów i skwerów z ławkami, gdyż wywoływały one prawie zawsze wizję. Zwidzenie przesłaniało sobą niekiedy obrazy świata rzeczywistego lub też przeglądało przez nie jak przez szybę. Najsilniej rysowały się oczy Góranowskiego — wyszłe z orbit, ścięte szklivem grozy, z białkami wywróconymi do góry, gdzieś daleko w głąb czaszki. Obok na ziemi leżał jego kapelusz — czarny, pretensjonalny „melonik”, którego tak nie cierpiał; ten sam, który widniał obok niego na ławce w ów przeklęty wieczór wrześniowy. Prawdopodobnie spadł mu z głowy w czasie szamotania się z nim, Materną, i potoczył się o parę kroków na trawnik. Góranowski był w lakierkach i czarnym

wizytowym stroju. Na gorsie koszuli rozkładał się szafirową plamą zaborowy krawat. Zupełnie jak wtedy. Tylko jej nie widział; postać Rysi była stale wyłączona poza ramy obrazu; jak gdyby nie miała z nim nic wspólnego, jak gdyby nie chciał jej obecności w momencie spełnienia. Bo w jej oczach nigdy by nie zamordował człowieka, o ile w ogóle byłby zdolny do czegoś podobnego.

Pod koniec drugiego tygodnia, gdy uporczywość powtarzających się wizyjnie scen stała się nie do zniesienia, wpadł Materna na śmieszny pomysł; sprzedał jakiemuś „handełesowi”<sup>6</sup> jedyne „porządne” ubranie, które miał na sobie w czasie owej fatalnej przechadzki po ogrodzie: solidnie jeszcze wyglądające pepitkowe spodnie, ciemnogrnatowy tużurek<sup>7</sup> i takąż kamizelkę. Rozstając się z tymi rzeczami, miał jakieś głucho przeczucie, że przez to „przykłada siekierę do pnia” ścigających go myśli i obrazów. Nie

---

<sup>6</sup>*handełes* (daw.) — żydowski uliczny handlarz starzyzną. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*tużurek* (z fr.) — rodzaj surduta; element męskiego stroju popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]



wiadomo dlaczego zdawało mu się, że przez pozbycie się tego ubrania usunie jeden z głównych czynników, wywołujących ponure skojarzenia. Patrząc za handełsem, unoszącym w triumfie swą zdobycz, doznał uczucia głębokiej ulgi: jak gdyby tracił z oczu niebezpiecznego świadka, który mu ustawicznie przypominał jego czyn imaginacyjny; jak gdyby coś z niego przywarło do ubrania i stało się zaczynem dręczących go zwidzeń.

Na pozór dziwaczny i dziecinny koncept okazał się w rezultacie zbawienny: od tej chwili zmora fikcyjnej zbrodni przestała go nawiedzać. Czy było to wynikiem autosugestii, czy też innych nieuchwytnych na razie przyczyn, nie wiedział. Niemniej fakt pozostał faktem i Materna, jak ozdrowiony po długiej, przewlekłej chorobie, zaczął spoglądać na świat weselej i z większą ufnością. Postanowił nawet z tego powodu za zdobyte pieniądze trochę „uradować sobie duszę” i popić w gronie miłych towarzyszy. Zamiar zrealizował nazajutrz wieczorem z taką precyzją, że koło północy świat cały zataczał



mu się w oczach rytmem wściekłego kanka-  
na<sup>8</sup>. Dopiero nad ranem otrzeźwiał w jakiejś  
kawiarni u boku serdecznego druha, który mu  
wiernie dotrzymał towarzystwa aż do końca.  
Gdy „dla podtrzymania nadwątlonej energii ży-  
ciowej” wychylał trzecią z rzędu filiżankę „czar-  
nej”, wzrok jego, zabłądziwszy przypadkiem po-  
między szpalty jednego z dzienników, zatrzy-  
mał się uważniej na kronice wypadków bie-  
żących; zmętniałe oczy przesunęły się ospale  
po pierwszej ich kolumnie, przeszły w górę na  
drugą i nagle zatrzymały się na skądinąd nie-  
winnym nagłówku: *Niefortunny handeles*.

Zaintrygowany, wziął do ręki gazetę.

„Wczoraj w południe — brzmiała no-  
tarka — jakiś podejrzany osobnik okradł  
na placu Solarnym handlarza starzyznę, Mo-  
tia Feiga, w chwili gdy ten ostatni był za-  
jęty rozmową z kolegą po fachu. Feig rzu-  
cił się w pogoń za złodziejem, lecz wkrótce  
dał za wygraną, nie czując się na siłach do

---

<sup>8</sup>*kankan* — żywy, skoczny taniec wykonywany w kabaretach. [przypis edy-  
torski]

dalszego pościgu. Przedmiotem kradzieży było świeżo nabyte od jakiegoś »gościa« męskie ubranie, składające się z pary pepitowych spodni i granatowej marynarki wraz z kamizelką. Biedny Feig jest podobno niepokieszony, bo stan zachowania skradzionych mu rzeczy był wyjątkowo dobry. — Co za czasy! Kogo już nie okradają?”

Materna uśmiechnął się:

— Interes ze mną nie przyniósł jakoś tym razem Motiowi szczęścia — rzekł, pokazując koledze artykuł.

— Dobrze mu tak! — odpowiedział Woliccki po przeczytaniu notatki. — Nie dość już ponaciągał akademików? A zawsze hultaj zgłasza się pod koniec miesiąca, gdy koło człowieka krucho i gotów oddać ostatnią choćby parę portek za psie pieniądze. Dobrze mu tak, cyga-

nowi<sup>9</sup>. Ale czas już do „budy”. Dzień jak wół. Chodźmy, Władek!

I w różowych humorach wyszli z kawiarni.

Było to w środę dwunastego października rano. Przez cały ten dzień Materna czuł się wybornie, nie mogąc wyjść ze zdumienia nad faktem, że nękająca go od dwóch tygodni zmora usunęła się tak nagle, jak nagle przyszła. Równocześnie przeniknięty był głęboką wdzięcznością i współczuciem dla Motia. Biedny, obdarty i wiecznie zachrypnięty Żydek urósł mu w oczach do znaczenia męża opatrnościowego, stał się czymś w rodzaju ducha opiekuńczego, który wyprowadził go „z domu niewoli”. Brała go nawet ochota, by odszukać handelesa i w jakiś sposób osłodzić mu dotkliwą stratę. Lecz ostatecznie zamiaru zaniechał z obawy przed ośmieszeniem się.

A w czwartek po południu, w drodze powrotnej z „uniwerku” zatrzymał go i przykuł

---

<sup>9</sup>*cygan* — tu w zn.: oszust; określenie to w sposób stereotypowy i krzywdzący łączy przynależność do grupy etnicznej (Cyganie, dziś raczej: Romowie) z zachowaniami przestępczymi (oszustwo). [przypis edytorski]

do miejsca na rogu ulicy głos kamlota<sup>10</sup> wykrzykującego sensacyjną nowinę dnia:

— Straszne morderstwo w Ogrodzie Strzeleckim! Telegram „Gońca Porannego”, trzydzieści groszy numer! Tragedia wieczoru jesiennego! Po trzydzieści groszy sztuka!

Materna kupił dziennik i wżerał się oczyma w komunikat pt. *Potworna zbrodnia w Ogrodzie Strzeleckim*.

„Dzisiaj, trzynastego bm. — pisał anonimowy sprawozdawca — w godzinach porannych znaleziono w Ogrodzie Strzeleckim na jednej z ławek obok kortu tenisowego w górnej partii ogrodu zwłoki uduśzonego mężczyzny. Tożsamości jego na razie nie ustalono. Był to człowiek trzydziestokilkoletni, w czarnym wizytowym stroju z ciemnobłękitnym krawatem. Nogi zamordowanego były obute w lakiery; obok ławki, na której zaskoczyła go śmierć, leżał twardy kapelusz, tzw. melonik, firmy Habiga. Nieszczęśliwy uległ napast-

---

<sup>10</sup>*kamlot* (z fr. *camelot*) — uliczny sprzedawca gazet. [przypis edytorski]

nikowi widocznie dopiero po rozpaczliwej walce, której ślady noszą poszarpane ubranie i liczne zadraśnięcia na twarzy i szyi. Morderstwa dokonano prawdopodobnie w celach rabunkowych. Brak papierów przy zmarłym utrudnia stwierdzenie jego tożsamości. Również nie zdołano na razie ująć zbrodniarza. Lecz podobno policja jest już na tropie. Spodziewać się należy, że już najbliższe godziny przyniosą rozwiązanie ponurej zagadki”.

Gazeta wypadła z rąk Materny. Zatoczył się i oparł ciężko o mur kamienicy. Był bliski omdlenia...

Dla niego nie istniała ta zagadka. On znał nazwisko ofiary. O tym nie wątpił. Lecz kim był morderca?

Zachwiana na chwilę pod obuchem faktu przytomność umysłu powoli dźwignęła się i podtrzymywana wysiłkiem woli zaczęła snuć męczące domysły. Powlókł się niepewnym krokiem w głąb miasta.

Góranowski nie żyje! Stwierdzenie tego stanu rzeczy wydało się nieprawdopodobne w swej oschłej, twardej prostocie... Uduszony! Właśnie uduszony! Nie zastrzelony, nie przebity — lecz uduszony; o — tak, po prostu, parą mocnych, głodnych mordy rąk.

Przypadek! Czysty przypadek! Zbieg okoliczności! Bo chyba to nie on, Materna? Co za głupie przypuszczenie! A może? A może!... Idiotyzm! Kretyństwo! W jaki sposób? Kiedy?

I zaczął skrupulatnie przechodzić w pamięci zajęcia swoje i ruchy z dni ostatnich. Nie znalazł nic podejrzanego. Od dwóch tygodni unikał starannie ogrodu na Strzelnicy i umyślnie nie zapuszczał się w jego dzielnicę. A czyn spełniono chyba niedawno: dziś rano lub wczoraj wieczorem. Ogród — nie las; zwłoki nie mogły długo ujść ludzkiej uwagi. Chociaż — kto wie? Wszystko na świecie możliwe. Zwłaszcza że pora jesienna, mglista. Ogród ten jest na ogół mało odwiedzany. Mogło się zdarzyć, że od kilku dni nikt tam na górę nie zajrzał. A w takim razie?

Maternę porwała wściekłość na samego siebie.

— No więc co w takim razie, durniu? Bardzo ciekaw, co w takim razie?

— W takim razie — odpowiedział mu chłodno jakiś głos przekory — Góranowskiego mógł ktoś zamordować znacznie wcześniej, niż chcesz w nas wmówić; ot na przykład w nocy z wtorku jedenastego bieżącego miesiąca na środę.

— Łziesz, głupcze! — bronił się zaciekle, czując, jak czoło pokrywa mu się zimnym potem. — To niemożliwe! A zresztą, choćby nawet! Co mnie to wszystko obchodzi?

— Usiłujesz zapomnieć, że właśnie całą tę noc z wtorku na środę byłeś poza domem, i to w stanie na pół przytomnym.

— Tak — ale ten filister<sup>11</sup> Góranowski chyba nie miał zwyczaju wysiadywać po parkach nocami. Był na to za wygodny. Zresztą po co? Gdy się ma własny, z takim iście burżuazyjnym smakiem urządzony dom... Cha, cha, cha!

---

<sup>11</sup>*filister* (pogardl.) — mieszczuch o ograniczonych horyzontach, prozaiczny materialista. [przypis edytorski]



Co za idiotyczna argumentacja! A jeśli mu raz w życiu przyszła do głowy właśnie taka romantyczna fantazja? Raz w życiu, na godzinę przed śmiercią? He, he, he!...

Materna ścisnął rękoma pulsujące skronie i próbował nie myśleć. Lecz uparty jakiś rezoner<sup>12</sup> zapuszczał mu coraz głębiej w duszę bezlitosną sondę i wiercił świdrem hipotez i wniosków.

Tak wśród katuszy przeżył parę godzin tego piekielnego popołudnia. O godzinie siódmej pojawiły się nadzwyczajne dodatki gazet i parę wydawnictw wieczornych. Rzucił się na nie z drapieżnością pantery. W kilka minut pochłonął wszystkie i odetchnął. Zbrodniarza wykryto i ujęto. Był nim niejaki Rozbań, notoryczny włamywacz, kilkakrotnie już karany u kradzież i pobicie. Jak donosił jeden z dzienników, Rozbań, ujęty przez władze, od razu przyznał się do czynu. Podobiznę jego zamieścił ilustro-

---

<sup>12</sup>rezoner (z fr., teatr.) — osoba, której rola polega na wygłaszaniu komentarza odautorskiego podczas spektaklu. [przypis edytorski]

wany dodatek „Kuriera Wieczornego” z następującą uwagą:

„Charakterystycznym szczegółem uzupełniającym długi szereg przestępstw tego osobnika jest okradzenie niejakiego Motia Feiga, handelesa z zawodu. Mianowicie w wigilię zbrodni, we wtorek jedenastego bm., w samo południe, Rozbań wydarł z rąk przechodzącemu przez plac Solarny Feigowi świeżo nabyte przez tegoż ubranie męskie i zbiegł z nim szczęśliwie w kierunku rogatki. Lecz, jak sam obecnie wyraził się podczas przesłuchania pierwiastkowego<sup>13</sup>, ubranie to nie przyniosło mu szczęścia: miał je podobno na sobie w chwili dokonania morderstwa, tj. w śródę dwunastego bm. wieczorem, i nie zdążył się przebrać w inne przed momentem aresztowania go, które nastąpiło dzisiaj koło godziny piątej po południu. Zbrodniarz zdaje się przywiązywać do tego faktu nadzwyczajną wagę. Prawdopodobnie mamy

---

<sup>13</sup>pierwiastkowy (daw.) — początkowy, tu: wstępny. [przypis edytorski]

tu do czynienia ze znamioną, a tak częstą u ludzi tego pokroju formą złodziejskiego przesądu. »Fatalne ubranie«, które Feig, wezwany w charakterze świadka, natychmiast rozpoznał jako ukradzione mu przed dwoma dniami, składa się z pary pepitkowych spodni, granatowej marynarki i takiegoż koloru kamizelki. Pierwotnym jego właścicielem był podobno jakiś ubogi akademik, od którego odkupił je Motio w »czarną godzinę«.

Materna odetchnął z ulgą. Na wszelki wypadek — to nie on. A o to głównie chodziło. Pozostawała osoba zamordowanego. Już po pierwszym gorączkowym przejrzaniu gazet zorientował się, że dotychczas policja nie zdołała ustalić jego tożsamości.

A może to przecież nie Góranowski? — błysnął na moment ponętny domysł, lecz zaraz zbladł i wyplówał zręcznym ługiem zwątpienia.

— Na wszelki wypadek należy dokładniej przestudiować pisma.

I wstąpił do ulubionej kawiarni na szklan-  
kę „czarnej”. Usłużny kelner przyniósł mu cały  
stos gazet.

— Nadzwyczajny dodatek „Ekspresu Ilu-  
strowanego”, jeszcze ciepły, spod prasy — rzekł  
poufale, zwracając mu uwagę na jedno z czaso-  
pism. — Zawiera podobiznę zamordowanego  
w Ogrodzie Strzeleckim.

Drżącymi rękoma rozłożył Materna dzien-  
nik. — Góranowski! — szepnął, ujrawszy fo-  
tografię ofiary, i usłyszał, że szczeka zębami jak  
w febrze. Lecz jeszcze nim zdołał opanować  
wzruszenie i odwrócić oczy od twarzy nieszczę-  
śliwego, usłyszał tuż obok siebie jego ironicz-  
ny, pewny siebie głos. Nie wierząc uszom, pod-  
niósł od gazety szklane spojrzenie i spotkał się  
oko w oko z rywalem; naprzeciw niego przy są-  
siednim stole siedział Góranowski z krwi i ko-  
ści w towarzystwie starszego jegomościa i fik-  
sował<sup>14</sup> go zajadle. Materna patrzył na niego  
jak spiorunowany.

---

<sup>14</sup>*fiksować kogoś* (daw.) — patrzeć uporczywie na kogoś. [przypis edytorski]

— Hi, hi, hi! — śmiał się inżynier, ukazując garnitur drapieżnych jak u wilka zębów — pan radca rzeczywiście przypuszcza coś podobnego?

— Nie tylko przypuszczam — odpowiedział mu jego towarzysz *vis-à-vis*<sup>15</sup> — lecz jestem tego pewny.

Rozmowa obu panów miała charakter czegoś najnaturalniejszego pod słońcem. Materna miał ochotę obu ich, a zwłaszcza Góranowskiego, serdecznie za to uściskać. Rzucił znowu okiem na podobiznę w „Ekspresie”, skonfrontował z rzekomym oryginałem i przekonał się z radością, że jednak Góranowski żyje i że nie zniknął mu jak mara spoza stolika naprzeciw. Lecz wciąż jeszcze nie dowierzał.

— Panie Jasiu! — zagadnął półgłosem przechodzącego obok płatniczego<sup>16</sup>. — Kto jest ten roześmiany pan naprzeciw?

---

<sup>15</sup>*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciw; tu: osoba siedząca naprzeciw, po drugiej stronie stołu. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*płatniczy* — kelner płatniczy, sprawujący stały nadzór nad rewirem i wyznaczonym do jego obsługi zespołem kelnerów; wita gości restauracji, przyjmuje od nich zamówienia, które przekazuje podwładnym, sporządza rachunki oraz pobiera należność. [przypis edytorski]

— Inżynier Góranowski — usłyszał pełną oczywistości odpowiedź. — Czy go pan nie zna? Zachodzi często do nas. Jest podobnie jak pan tutaj stałym gościem.

Materna wskazał płatniczemu podobiznę:

— Czy nie wygląda jak bliźniak tego pana?

Jasio spojrział uważnie:

— Szanowny pan ma rację — rzekł, ukradkiem zerkając w stronę inżyniera. — Podobni jak rodzeni bracia. Tylko tamten zdaje się mieć twarz trochę pełniejszą.

— To obrzęk pośmiertny.

— A tak, to możliwe. Uderzające podobieństwo! — I odszedł do pierwszej łoży na prawo, dokąd go wzywano.

Materna pozostał w kawiarni do późna w noc, dotrzymując wiernie Góranowskiemu towarzystwa na dystans i rozkoszując się jego szampańskim humorem; miał dla niego szczerą, głęboką wdzięczność za ten humor i werwę. Gdy wreszcie koło drugiej po północy inżynier wstał od stolika i zabierał się do wyjścia, Materna pożegnał go ukłonem. Góranowski w pierwszej

chwili zdębiał. Potem uśmiechnął się, zakaszłał wytwornie i odpowiedział lekkim skinieniem głowy.

„Głupiec! — pomyślał Materna — głupiec i filister pierwszoklasny, lecz niech mu Pan Bóg da zdrowie za to, że żyje”.

Wesołkowa nuta amerykańskiej piosenki wtargnęła w tok refleksji i nie opuściła go już tej nocy. Z tą melodią w uszach usnął nad ranem snem sprawiedliwego. Ocknął się dopiero późnym wieczorem. Był wypoczęty i głodny. Wybiegł na miasto i zjadł tanią kolację w studenckiej garkuchni. Potem z nie mniejszym apetytem rzucił się do przeglądania czasopism; polował przede wszystkim na sprawozdania z przebiegu śledztwa w sprawie mordu; dziwnie go ta kwestia obchodziła.

— *Stwierdzenie tożsamości zamordowanego w Ogrodzie Strzeleckim* — przeczytał nagłówek w rubryce kroniki codziennej „Kuriera Wieczornego” i przebiegł szybko oczyma treść zwięzłej notatki:



„Mężczyznę uduszonym onegdaj w ogrodzie na Strzelnicy — donosił dziennik — jest Stanisław Wierocki, przemysłowiec z Łodzi, przybyły do naszego miasta przed paru dniami dla załatwienia interesów rodzinnych. Ponieważ Wierockiego nikt tutaj nie znał i nie znaleziono przy nim żadnych dokumentów osobistych, nie zdołano go od razu zidentyfikować. Dziś tożsamość nie ulega wątpliwości, stwierdził ją brat zamordowanego, Adam, który zaniepokojony dłuższą jego nieobecnością przyjechał dziś rano do L. Śp. Wierocki osierocił żonę i troje dzieci. Morderca jego, Michał Rozbań, usiłował wczoraj w nocy w więzieniu odebrać sobie życie, lecz zamiar udaremniiono; złoczyńca wkrótce będzie odpowiadał za swój czyn przed sądem przysięgłych”.

Materna odłożył gazetę i zamyślił się. Sprawa Rozbania zainteresowała go silniej, niż przypuszczał. Mimo „wyjaśnień” dzienników, mi-

mo zeznań podsądnego, mimo stwierdzonej tożsamości ofiary. A już zdawało się, że uwolnił się definitywnie od tego kompleksu torturujących go myśli, że skończył raz na zawsze z tą „chimerą”<sup>17</sup>. Lecz było to złudzenie. Materna czuł, że mimo wszystko związany jest z tą „awanturą” organicznie. Niewidzialne dla oka ludzkiego, podziemne jej kłacza wysuwały się spłotem tysiąca macek i sięgały poń żarłocznie, by wciągnąć go w wiry posepnych kręgów. Bronił im się rozpaczliwie, lecz bezskutecznie: malstrom<sup>18</sup> zbrodni łechtał mu już lubieżnie stopy i nęcił ku sobie obietnicą ponurych spełnień... „Złoczyńca odpowie wkrótce za swój czyn”. — Czy istotnie tylko za swój, bezwzględnie swój czyn? — Oto zagadnienie! Szczególny zbieg okoliczności postawił je przed nim. Usłużny przypadek narzucił mu je z brutalną siłą. Czy naprawdę tylko przypadek? A jeżeli poza tym było coś istotnego?...

---

<sup>17</sup>*Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*malstrom* — prąd morski o silnych wirach wywoływany pływami w fiordach północnej Norwegii. [przypis edytorski]

Gdyby nie to podobieństwo do Góranowskiego, to przeklęte podobieństwo! Gdyby nie to miejsce i nie to śmieszne ubranie ukradzione Motiowi — gdyby, gdyby. Lecz właśnie było tak, właśnie tak, a nie inaczej. I ta forma czynu, ten sposób realizacji... Dlaczego go udusił, dlaczego nie zadźgał nożem? Wszak podobno miał go przy sobie w chwili spełniania czynu?... Dusza Materny stała się znów terenem zaciętych zmagania. Nieubłagany prokuratorski głos odniósł w nim w końcu zwycięstwo. W kilka dni potem odwiedził Rozbania w więzieniu.

Dostęp do mordercy ułatwił mu znajomy sędzia. Spotkanie nastąpiło w godzinach wieczornych, bez świadków. Więzień patrzył nań zrazu spode łba. Może uważał go za wyżła policyjnego, wpuszczonego do celi dla wysondowania motywów zbrodni? Przez parę minut milczał zawzięcie i patrzył na gościa z miną wyczekującą. By wzbudzić zaufanie, Materna przemówił tonem usprawiedliwienia.

— Zapewne jest pan trochę zdumiony moją wizytą? Upewniam pana — nie przychodzę tu z prostej ciekawości.

Rozbań milczał uporczywie, świdrując go przenikliwym spojrzeniem. Materna zapalił papierosa.

— Nie jestem członkiem policji — mówił uspokajająco — ani tajnym detektywem.

— Więc czego pan chcesz ode mnie, do starego diabła? — odburknął wreszcie niegościnnie „gospodarz”.

— Otóż to! To lubię. Lepsze przekleństwo niż uparte milczenie. Nie znoszę ludzi milczących. Budzą nieufność.

— Zamordowałem człowieka — odciął się krótko Rozbań.

— Wiem o tym. I właśnie w tej sprawie tu przychodzę.

— Wynoś się pan stąd, pókim dobry! — krzyknął więzień i zacisnął groźnie pięści. — Nie będę gadał o tym więcej ani słowa, z nikim. Już i tak wszystkie bebechy mnie bolą od tego wypytywania. Zabiłem tego burzuję, bo mi się

tak spodobało, i wiem, że za to będę dyndał. Czego chcecie jeszcze ode mnie? Przecież nie wypieram się niczego.

Materna, niezrażony wybuchem, palił dalej spokojnie papierosa. Rozbań stanął naprzeciw i przymknął filuternie jedno oko:

— Pan detektyw chce mnie znów pociągnąć za język i bierze na kawał...

Gość zniecierpliwił się:

— Nie jestem detektywem, powtarzam raz jeszcze — odparł, uderzając w stół pięścią, aż zadźwięczała szklanka. — Przyszedłem tu jak przyjaciel.

— Hi, hi, hi! — szydził Rozbań. — Ciego! Przyjaciel! Nie mam przyjaciół między burżujami.

— Jestem biednym akademikiem — tłumaczył mu Materna — i uważam pana tylko w części za winnego.

— Cha, cha, cha! — śmiał się szczerze rezimieszek. — A to mi nowina! Pan wie o mnie więcej niż ja sam o sobie. To ci filozof!

Lecz od tej chwili zaczął przypatrywać się gościowi z zainteresowaniem.

— Pan może uczy się na doktora od wariatów? — zapytał podejrzliwie.

Materna uśmiechnął się:

— Zgadłeś. Coś w tym rodzaju.

— To nie ma pan tu czego szukać — warknął znów tamten. — Mam wszystkie klepki w porządku.

— O tym nie wątpiłem ani na chwilę — uspokoił go Materna — i nie zamierzam z pana robić wariata. Dlaczego właśnie mordując Wierockiego, użył pan do tego rąk, a nie noża, który podobno miał pan przy sobie tego wieczora?

Pytanie zrobiło pewne wrażenie. Rozbań rozchmurzył się i z namarszczoną twarzą wpatrywał się w gościa.

— A to cholera jakaś z pana! — odpowiedział w końcu. — Włazi mi pan z butami do mego wnętrza, jakby tam pan był gospodarzem.

I spojrzał ze szczerym podziwem.

— Kie lichy kazało panu o to mnie dopytywać? A czy pan wie, że ja sam siebie o to już parę razy nagabywałem?

Materna nadstawił uszu:

— Jak to?

— Ano tak, bo ja sam nie wiem, dlaczego nie przebiłem go od razu „majchrem”.

— Może coś pana w ostatniej chwili od tego powstrzymało?

Rozbań zamyślił się.

— Powstrzymać — odpowiedział po chwili — nie powstrzymało, ale coś mi jakby szepnęło na ucho, że przyjemniej będzie go udusić.

Maternie błysnęły dziwnie oczy:

— Przyjemniej, powiadasz? Tak, tak — przyjemniej czuć pod palcami wijące się w śmiertelnym strachu ciało wroga, nasycać się widokiem jego męki.

Rozbań przybliżył twarz ku twarzy gościa i związał oczy z jego oczyma.

— Skąd pan wiesz o tym wszystkim? — zapytał. — Ki diabeł panu to o mnie powiedział?



— Tak było, nieprawdaż? — dopytywał się natarczywie Materna.

Rozbań cofnął się, zimny już i spokojny.

— Tak — rzekł ponuro — tak było w tej chwili. Nie chciałem go zrazu nawet zabijać. Bo i po co? Wystarczyło zabrać mu portfel i ten złoty zegarek z łańcuszkiem. Potem nagle, ni stąd, ni zowąd, „piknęło” mi coś, by dźgnąć go nożem. I już wyciągałem z kieszeni „majchra”, gdy przyszła ochota zadusić. Taki mi się ten burzuj nagle wydał obmierzły, tak ci mnie coś do niego pchało z tymi gołymi rękami, że rzuciłem się mu ku szyi, niby ten wilk na przednówku<sup>19</sup> ku końskiej gardzieli. Stało się to w jednej chwili. Dopiero gdy mi się obsunął z ławy, jako ten wór z piachem z rozkrzyżowanymi rękami, przyszło mi na myśl, że całkiem niepotrzebnie zamordowałem. Puszcząć krew — to ta puszczało się nieraz — ale zakatrupić człeka na amen — to jeszcze ani razu przedtem

---

<sup>19</sup>*przednówek* — okres przed nowymi zbiorami; dawniej najtrudniejszy do przetrwania na wsi okres, kiedy po zimie kończyły się zapasy żywności ze zbiorów zebranych jesienią, a nie można było jeszcze zebrać nowych plonów. [przypis edytorski]

nie zakatrupił. Ha! Stało się. Pierwszy to mój umrzyk i ostatni.

Zwiesił ponuro głowę.

— A skądże się pan właściwie znalazł w Ogrodzie Strzeleckim tego wieczora? — zapytał Materna.

— Skąd się tam wzięłem? — powtórzył więzień machinalnie i zmarszczył czoło, usiłując odtworzyć sobie w pamięci sytuację. — Dalibóg, nie wiem, skąd się tam wzięłem w ten przeklęty wieczór... Aha! Przypominam sobie. Byłem trochę „chirny”; wywlokłem się tego już „wstawiony” z knajpy na Podwalu i poszedłem przed siebie na chybił trafił. Jakieś lichy zawiodło mnie na to miejsce. Tfu!

Splunął i rzuciwszy się na łóżko, zapalił papierosa. Materna był z siebie i wizyty zupełnie zadowolony. Podszedł ku „gospodarzowi”, poklepał go po ramieniu i rzekł na pożegnanie:

— Dziękuję panu. Jakoś to będzie.

Rozbań nie raczył odpowiedzieć. Wszedł dozorca więzienny i zwrócił gościowi uwagę na

to, że wizyta zbyt się przeciąga. Materna przyznał mu rację:

— Ma pan słuszność. Już idę. *Adieu*<sup>20</sup>, mości Rozbań!

I nucąc piosenkę, wyszedł z celi.

\*

Nadszedł dzień rozprawy. Chociaż proces Rozbania pozbawiony był zupełnie pieprzyka sensacyjno-erotycznego, publiczność tłumnie wypełniła salę; przeważali mężczyźni; zjawili się kilku profesorów uniwersytetu i kilku lekarzy psychiatrów. Podobno parę dni przedtem przebąkiwano na mieście o szczerym zainteresowaniu, jakie okazał podsądnemu jakiś młody, bliżej nieznany akademik. Być może ta pogłoska zaostrzyła ciekawość ludzką i ściągnęła tak liczne audytorium.

Lecz w miarę rozwoju postępowania sądowego twarze wydłużały się wyrazem rozczarowania: żadnych pikantnych szczegółów, ani cienia psychologicznych subtelnostek, sprawa

---

<sup>20</sup>*adieu* (fr.) — do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

przedstawiła się jako pospolity mord dla celów rabunkowych, jako jedno z tych nieprzeliczonych stereotypowych przestępstw, które od czasu do czasu wyrzuca na powierzchnię zatruta magma wielkiego miasta. Ludzie ziewali. Nawet przewodniczący trybunału, surowy, dystyngowany pan w birecie, nie ukrywał swego znudzenia, co chwila zasłaniając dłonią usta i spoglądając znużonymi oczyma przez okno na podwórzec więzienny. Szara nuda rozsiadła się w sali. Potęgowało ją zachowanie się podsądnego: Rozbań odpowiadał apatycznie, niechętnie, z rezygnacją. Nie usiłował nawet bronić się i każdym niemal słowem paraliżował wysiłki swego oficjalnego obrońcy. Sytuacja stawała się beznadziejna. Zeznania nielicznych świadków, przeważnie funkcjonariuszy policji i rodziny zamordowanego, nie obfitowały w momenty nowe i nie ożywiły monotonii przewodu sądowego. Sprawa była jasna i wyrok zdawał się być z góry przesądzony.

— Będzie wisiał, jak mi Bóg miły! — zwierzał się konfidencjonalnie<sup>21</sup> młodszemu kole-dze „po fachu” stary wyga sądowy, woźny Skwierz.

— I mnie się coś tak widzi — przytwierdzał tamten.

Opinię służby podzielała też większość publiki. Toteż obrońca Rozbania miał minę żołnierza, któremu powierzono straconą placówkę. Wtedy wystąpił Materna. Stał przed trybunałem blady i silnie wzruszony: na twarzy wychudłej, z zapadłymi głęboko policzkami, widniały ślady przebytych zmaganiań wewnętrznych, w oczach grały ponure blaski. Parę kobiet na widowni wzięło go natychmiast w krzyżowy ogień lornetek.

— Wysoki Trybunale i wy, Szanowni Panowie Przysięgli! — zaczął głosem drżącym od wzruszenia. — Sprawa, którą przychodzi wam dziś sądzić, nie jest tak prosta, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Czyn podsądnego, przedstawiający się na pozór jako pospolite mor-

---

<sup>21</sup>*konfidencjonalnie* (z łac.) — poufale, z zażyłością; w zaufaniu. [przypis edytorski]

derstwo dla celów rabunkowych, jest w rzeczywistości wypadkową najróżnorodniejszych czynników i wpływów, których nieubłagany splot zaciążył nad nim fatalnie. Wysoki Sądzie! Zadaniem moim będzie przedstawić panom właściwy rodowód tego czynu. Posłuchajcie!...

Otarł chustką czoło i po chwili wśród absolutnej ciszy mówił dalej:

— Przede wszystkim należy stwierdzić dwa ponad wszystko ważne fakty: po pierwsze, że śp. Wierocki, uduszony przez Rozbania w Parku Strzeleckim, był łudzaco podobny do mego osobistego wroga, obecnego tu na sali wśród panów przysięgłych, którego nazwiska nie chcę wymieniać ze względów natury czysto prywatnej i którego nazwijmy dlatego panem B.; po drugie, że przez dwa tygodnie przed czynem Rozbania nosiłem się z upartym zamiarem zgładzenia ze świata wspomnianego B., i to w sposób zupełnie podobny do tego, w jaki Rozbań zamordował śp. Wierockiego. Z tymi dwoma faktami wiąże się trzeci, nie mniej charakterystyczny dla sprawy: Rozbań dokonał czynu

w moim dawnym ubraniu, które dziwnym zbiegiem okoliczności wpadło mu w ręce na kilka dni przed zbrodnią. Wysoki Sądzie! Wniosek, jaki wyciągnąłem z tych trzech faktów, wniosek nieodparty, dla mnie oczywisty, choć drugoczący, jest taki: Rozbań był poniekąd symbolicznym realizatorem moich myśli, które ponurą falą zbrodni obległy dom jego duszy, znajdując w nim podatny na swoje podszepty rezonans. Zabójca śp. Wierockiego jest tylko w części winien jego śmierci. Wspólnikiem jego, niestety, jestem ja! Sumienie, ten najwyższy sędzia człowieka na ziemi, każe mi wziąć na siebie część odpowiedzialności za ten czyn. Sędziowie Przysięgli! Należę do kategorii ludzi umiejących myśleć mocno i wyjątkowo plastycznie, do rzędu tych, których myśli lubią przybierać formę silnych, jaskrawymi barwami przesyconych obrazów i unoszą się gdzieś w sferze psychicznego planu w postaci ciemnych, żądnych realizacji wirów. Myśli i chcenia ludzi mojego pokroju — to niby zatrute wyziewy duszy, błakające się samopas w prze-



stworzach środowiska — to jadowite monady<sup>22</sup>, szukające swych złowieszczych spełnień. Biada temu, w którym znajdą powolne sobie narzędzie, w którego wnętrzu spłyną wężową falą, polaryzując elementy jego jaźni na swoją modłę! Panowie! Nie twierdzę, że Rozbań jest niewinny, lecz z całą stanowczością utrzymuję, że spełniając swój czyn, uległ po części moim zbrodniczym pragnieniom. Nie ulega wątpliwości, że kwitły w nim pewne predyspozycje do zbrodni, lecz też nie ulega dla mnie wątpliwości, że ich skryształizowanie nastąpiło pod moim nieuświadomionym i niezamierzonym wpływem. Rozbań „wyręczył” mnie poniekąd w sposób na poły symboliczny, mordując człowieka podobnego do B. w miejscu, w którym i ja widziałem go oczyma wyobraźni, uduszonego moimi własnymi rękoma. Ponury ten symbolizm akcentuje fakt, że Rozbań dokonał czynu w moim przebraniu. Roz-

---

<sup>22</sup>*monada* (gr.) — w filozofii Leibniza: podstawowy byt duchowy, z definicji niezależny od wpływów otaczającej rzeczywistości; biol.: organizm jednokomórkowy z jedną lub kilkoma wiciami. [przypis edytorski]

bań, Wysoki Sądzie — to jakby ja w roli mordercy; Rozbań — to mój nieszczęśliwy „zastępca”. Dlatego zechciejcie, Panowie Przysięgli, wydając wyrok na podsądnego, uwzględnić wszystkie podkreślone przeze mnie motywy i nie kierować się wyłącznie zewnętrzną linią zdarzeń. Niewątpliwie, pozory przemawiają przeciw niemu — lecz są to tylko pozory. Pamiętajcie, Szanowni Panowie, że pod powierzchnią tej sprawy tętni głucho podziemne źródliśko zbrodni. Dlatego błagam was w imię prawdy i sumienia, nie osądzajcie go zbyt surowo. To nie tyle morderca, ile człowiek bardzo nieszczęśliwy... Skończyłem.

Wyczerpany, usiadł Materna z powrotem na ławie świadków, wodząc błędnymi oczyma po otoczeniu. W sali panowała cisza. Nagle skądś, z górnych rzędów widowni, odezwało się tłumione wstydem łkanie...

Podniósł się z miejsca prokurator. Mówił płynnie, ze swadą. Znać było rutynę. Oskarżał ważko, bezwzględnie. Operował nagimi faktami. Nad zeznaniami ostatniego świadka prze-

szedł do porządku, ostentacyjnie ignorując. Zamknął akt oskarżenia zupełnym potępieniem podsądnego i domagał się surowego, sprawiedliwego wyroku. Wywołał wrażenie przygnębiające.

Nie zdołało go zatrzeć przemówienie obrońcy z urzędu. Jego oschła, słabo orientująca się w sferze psychicznych subtelności umysłowość nie umiała czy nie chciała skorzystać z tworzywa obrończego, dostarczonego przez Maternę. Ostatecznie zdobył się tylko na apel do serc przysięgłych i na niepopartą przekonywującymi racjami prośbę o akt łaski. Postępowanie sądowe zamknięto. Na dany znak sędziowie przysięgli usunęli się do przyległego pokoju na naradę. Trwała przeszło godzinę. Przez cały czas nikt z publiczności nie opuścił sali ani na chwilę: naprężone oczekiwanie trzymało wszystkich na uwieży.

Wreszcie wrócili. Przewodniczący ogłosił werdykt sędziów przysięgłych. Na pytanie pierwsze, czy Michał Rozbań winien jest zbrodni morderstwa, dokonanej na osobie śp. Wierockie-

go — odpowiedziano sześcioma głosami: tak, sześcioma: nie. Na pytanie drugie w kierunku zabójstwa odpowiedziano dziewięcioma głosami: tak, trzema: nie.

Po krótkiej naradzie z sędziami prezydent trybunału wydał wyrok następujący:

— Sąd okręgowy karny w L. po werdykcie sędziów przysięgłych orzeka, że Michał Rozbań winien jest zbrodni zabójstwa, dokonanej na osobie śp. Wierockiego dnia dwunastego października bieżącego roku, i skazuje go za to na dziesięć lat ciężkiego więzienia.

Po sali rozpraw powiało uczucie ulgi. Ktoś zaklaskał. Prezes sądu zmarszczył się, ogarniając surowym spojrzeniem publiczność. obrońca nie zgłosił sprzeciwu. Rozbań przyjął wyrok z pochyloną nisko głową. Gdy odprowadzany do więzienia mijał ławę świadków, zatrzymał się przed Materną i ruchem nagłym, nieoczekiwanym, pochylił się ku jego ręce. Tamten wyszarpnął mu ją zażenowany i rzekł na pożegnanie:

— Bądź zdrow, Rozbań! A pamiętaj, popraw się, gdy wejdiesz znów pomiędzy ludzi!

Więzień podniósł nań spojrzenie mętne od łez.

— Na pamięć matki mojej — odpowiedział mocno — przyrzekam to panu. Kanałą będę ostatnią, jeżeli tego nie dotrzymam. Niech mnie cholera weźmie, gdy będzie inaczej.

I rozplakał się jak dziecko.

Gdy Materna wychodził z gmachu sądowego, zauważył, że ludzie spoglądają nań z szacunkiem i z uprzedzającą grzecznością robią mu miejsce. Przeszedł, nie podnosząc oczu, pod pręgierzem spojrzeń...

Wtem wyszedł z tłumu jakiś mężczyzna i zastąpił mu drogę. Materna spojrział i poznał Góranowskiego. Stał przed nim z odkrytą głową i mówił głosem do głębi wzruszonym:

— Dzielny z pana człowiek. Przepraszam pana w imieniu własnym i w *jej* imieniu za wszystko, co go od nas spotkało. Czy może nam pan przebaczyć?

Materna milcząco podał mu rękę...

Tego dnia wieczorem ujrawszy się w lustrze, ze zdumieniem stwierdził, że osiwiiał zupełnie.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:  
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-swiadek-materna>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: 253, *außerirdische sind gesund*@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na *Swiadek Materna* na stronie Fundacji.